

## Fragment I

Dwa żywioty miasta – Tatarzy i Ormianie – czatowali na się wzajemnie z wyszczerzonymi zębami i wyostrzonym w zanadru kinżalem. Władze, regulujące ten stary zatarg na rzecz panowania rosyjskiego, przywarowały, albowiem w samym źródle ich potęgi coś się urwało i wywróciło do góry nogami. Wreszcie wszystko pierzchło na wszystkie strony. Zjawił się komisarz rewolucyjny – o dziwo! – Polak z pochodzenia. Ten piorunem ustanowił nową władzę i zaprowadził nowe porządki. Tatarzy i Ormianie dali pokój walce, a jedni i drudzy na swój sposób wyzyskiwali sytuację. Przede wszystkim – znikły wszelkie towary. Pozamykano sklepy. Zabrakło żywności. Banki nie wydawały złożonych kapitałów i nie wypłacały procentów. Nikt nie dostawał pensji. Rugowano z mieszkań. Zapanowała ulica, robotnicy naftowi i fabryczni, czeladź sklepowa i domowa, marynarze. Było tam jednak stosunkowo spokojnie. Miasto stało właściwie brakiem rządu, a siłę swą czerpało z walki skłóconych plemion. Ludność niezamożna upajała się mityngami, mowami i wywracaniem wszystkiego na nice.

Cezary Baryka był oczywiście bywalcem zgromadzeń ludowych. Na jednym z takich zbiegowisk wieszano in effigie burżuazyjnych cesarzów, wielkorządców, prezydentów, generałów, wodzów – między innymi lalkę ubraną za Józefa Piłsudskiego. Tłum klaskał radośnie a Cezarek najgłośniej, choć nic jeszcze, co prawda, o Józefie Piłsudskim nie wiedział. Wszystko, co wykrzykiwali mówcy wiecowi, trafiało mu do przekonania, było jakby wyjęte z jego wnętrza, wyrwane z jego głowy. [...]

Matka nie chodziła na mityngi. Patrzyła teraz ponuro w ziemię i nie odzywała się z niczym do nikogo. Gdy była z Cezarym sam na sam, próbowała oponować. Lecz wtedy popadał w gniew, gromił ją, iż niczego nie może zrozumieć z rzeczy tak jasnych, prostych i sprawiedliwych. Gadała zaś niestworzone klitusz-bajtuś. Twierdziła, że kto by chciał tworzyć ustrój komunistyczny, to powinien by podzielić na równe działki pustą ziemię, jakiś step czy jakieś góry, i tam wspólnymi siłami orać, siać, budować – żąć i zbierać. Zaczynać wszystko sprawiedliwie, z Boga i ze siebie. Cóż to za komunizm, gdy się wdrzeć do cudzych domów, pałaców, kościołów, które dla innych celów zostały przeznaczone i po równo podzielić się nie dadzą. Jest to – mówiła – pospolita grabież. Niewielka to sztuka z pałacu zrobić muzeum. Byłoby sztuką godną nowych ludzi – wytworzyć samymi przedmioty muzealne i umieścić je w gmachu zbudowanym komunistycznymi siłami w muzealnym celu. Drażniła tak syna swymi banialukami, argumentami spod ciemnej gwiazdy, a raczej z najobskurniejszej "siedleckiej ulicy", aż tutaj na światło rewolucji przytaszczonymi, iż świerzbiła go ręka, żeby ją za takie antyrewolucyjne bzdury po prostu dzielić potężnie i raz na zawsze oduczyć reakcji.

## Fragment II

"Rewolucja – nauczał ducha matki – jest to konieczność, wyższa ponad wszystko. Jest to prawo moralne. Poprzez dziesiątki setek lat ludzie nieszczęśliwi byli przez uprzywilejowanych deptani, ciemiężeni, wyzuwani ze wszelkiego prawa. Ileż to wskutek tego bestialskiego prawa panowania uprzywilejowanych nad wyzutymi ze wszelkiego prawa poniosło śmierć z chorób, z nędzy, z katuszy przymusowego ubóstwa, w udręczeniach, w jarzmie służby! [...] O matko! Nie chcę już pić drogiego wina, bo ono zmieszane jest z potem męczenników. Nie chcę stąpać po puszystych dywanach, bo stopy moje chodziłyby po charczących piersiach suchotników. Nie chcę nosić pięknego odzienia, bo ono paliłoby mię jak tunika zaprawiona krwią ze śmiertelnej rany centaura Nessosa. Należało raz przecie wykonać ten skok lwii, ażeby przemoc zepchnąć przemocą ramienia z tronu potęgi. [...] Twój syn nie może stać w szeregu ciemniężycieli. Nie chcę! Nie będę! Nie będę! Nie będę!"

## Fragment III

Z głębi wozu, jakby z ucisku nieposkromionego ciała męskich, wysuwał się *cadaver* młodej kobiety. Rzucony na wznak, zwiślał z wysokości wozu na jego lewe koło. Zdawało się, że po dziewczęcemu, jak za życia, z bliskości obcych ciała i z objęć cielesnych się wydziera. Czarne włosy dosięgały ziemi i wlokły się po skrwawionej kurzawie drogi. Prawa ręka opadła na lewe koło i bezwładna w swym stężeniu, dostała się między sprychy. Oczom młodego woźnicy narzucało się raz w raz, długo, z natręctwem, aż go dosięgło wreszcie i poraziło wewnętrznie nadzwyczajne piękno twarzy umarłej. Jej ciało, policzki, podbródek, usta i uszy były cudem harmonii. Oczy czarne, zawleczone jeszcze ciemniejszą niż one nocą nieprzejrzaną, były otwarte i ślepymi, wywróconymi na wznak źrenicami patrzyły nieustępliwie w poganiacza wołów. Maleńkie usta były otwarte, a leżący w nich język znieruchomiały stał się zastygłym obrazem przeraźliwego krzyku, który z nich wciąż jeszcze leciał, choć go już słyhać nie było. Mały, wyrzeźbiony, z ormiańska nagięty nosek wyprężył się teraz jak struna wyciągnięta ponad wszelką miarę. Naga szyja i małe, dziewicze, obnażone piersi trzymały w sobie zakłętą ten sam krzyk, który przenikał stokroć ostrzej niż łoskot gromu padający wraz z błyskawicą. Cezary zapatrzył się w tę postać odchodzącą w światy umarłych i usłyszał wewnątrz siebie krzyk, który ona wydawała. Biała ręka o śniadym odcieniu, harmonijnie i doskonale stworzony arcytwór piękności, który, zdawało się, dla doskonałych form swych w ramieniu, dla zaokrągłeń i zagłębień w okolicy łokcia i zwężeń swego kształtu ku dłoni, nie może nigdy zginąć i winien trwać na wieki – prosiła się o pomstę. Zsiniałe palce, popychane przez sprychy koła, sunęły paznokciami, łagodnie i opornie się zginając. Zdawało się, że umarła przebiera palcami na tych sprychach, na strunach niepojętych jakiegoś instrumentu. Cezary posłyszał w sobie wewnętrzną muzykę wydobyłą z obrotów koła śmierci przez tę rękę bezwładną. Pojął tę muzykę za pomocą władzy wyjątkowej, szczególnej, którą tylko wczesna młodość w piersi ludzkiej hoduje. [...]

Cezary Baryka zatopił oczy w oczach umarłej i usłyszał jej wołanie. Patrząc się na prześliczne jej ciało, na jej brwi rozstrzelone uroczo, na groźne jej usta, słuchał wyznania, wyraźniejszego, niżby być mogło, gdyby się ozwała ludzkimi słowy:

"Rosłam na łonie ukochania, u matki mej, jak kwiat róży na swej lodydze. Wszystko we mnie było pięknnością i zapachem. Wszystko, z czym się zetknęłam, było szczęściem. Ze szczęścia i z piękności były utkane dni moje. Wewnątrz mnie wszystko było zdrowiem i siłą. Zdrowa byłam, pełna zapachu i szczęścia dla wszystkich wokoło, jak kwiat wiosenny róży. Wszystko me zdrowie czekało na szczęście wewnętrzne, któremu jeszcze nie zaznała. Za coście mię zamordowali, podli mężczyźni?"

"Nie wiem – jęknął woźnica. – Uczono mię imion tyranów przeszłości, którzy jakoby zhańbili naturę ludzką czynami swymi – po których przejściu trawa nie rosła. Byłóż kiedy pokolenie podlejsze niż moje i twoje męczennico? Wytraconoż kiedykolwiek siedemdziesiąt tysięcy ludu w ciągu dni czterech? Widzianoż kiedy na ziemi takie jako te stosy pobitych?"

"Nie zapomnij krzywdy mojej, woźnico młody! Przypatrz się dobrze zbrodni ludzkiej! Strzeż się! Pamiętaj!"

## Fragment IV

Panowanie tureckie w mieście Baku (...) nie trwało długo. [...] Zniweczyło ją [formę państwa Azerbejdżan] najście wojsk bolszewickich, niosących wraz z hasłami rewolucji nowe rzezie, kary, egzekucje, gwałty, nie mniej okrutne i olbrzymie, jak wszystkie poprzednie. [...]

Nie mieli na kupno niezbędnych lekarstw dla starszego, gdyż gromadzili grosz nieodzowny na bilety. Seweryn dążył do walizki i opowiadał o niej synowi istne cuda. Sławna walizka, z którą był wyruszył na wojnę: przepyszna skóra "przedwojenna", wspaniałe okucia, monogram, pasy spinające, imadła z kręconego rzemienia, przegródki i skrytki wewnętrzne! Towarzyszka tyłu wypraw wojennych została w Moskwie, u pewnego rodaka, przyjaciela, emisariusza politycznego z Polski, Bogusława Jastruna. Czeka tam na przybycie obojgu. Skarby są wewnątrz tej walizki: wyprana i wyprasowana bielizna, cienka, grubsza i wełniana, chustki do nosa, skarpetki. Kołnierze, mankiety, krawaty! Jest tam flanela, wata – przyjaciel wojenny, termos, jest aspiryna, antypiryna, jodyna, terpentyna. Jest pewien doskonały, niezawodny środek na ciężkie męki serca. Gdzież to nie wędrowała ta płaska ręczna walizeczka! W jakichże to opresjach wspomagała po setki razy! Na samym jej spodzie leży ów tomik pamiętnika o dziadku Kalikście-Grzegorzcu i jego wiekopomnej awanturze – tej, co to – "pilnować jak oka w głowie"... [...]

Dążyli tedy, obojgaj teraz, na razie w marzeniu, do walizki w Moskwie. Ale nie mogli ukryć przed sobą nawzajem wątpliwości i obaw, czy ona aby dotrwa. Wielkie bowiem potęgi – reakcja i rewolucja, wszechwładny carat i wszechpotężny proletariatus – na śmierć walcząc ze sobą, sprzysięgły się na tę małą skórzaną skrzynkę. Czyhały na nią prawa osiągnięte wprost z łaski bożej i prawa materialistycznego pojmowania dziejów człowieczeństwa, prawa indywidualnej grabieży i prawa komunistycznego podziału dóbr tego świata -jako na własność zasługującą w każdym wypadku na doraźną konfiskatę. Zawierał się w niej przecie pewien ułamek cywilizacji świata skazanego na zagładę, a jednak budzącego skryte pożądania. Nie ulegało wątpliwości, że świat stary może z łaski bożej złupić, a świat nowy przypuści szturm do tej ostatniej twierdzy reakcji. Cezary był na rozdrożu. Z odrazą myślał o poparciu, jakiego nawet w imaginacji udzielał staremu porządkowi rzeczy, zatajając miejsce ukrycia i sam fakt posiadania zakonspirowanej walizki, a jednak nie mógł się oprzeć marzeniu o skarpetkach, chustkach do nosa, ba! – o krawacie. Co ważniejsze, nie mógł przecie odmówić ojcu prawa tęsknoty za aspiryną i antypiryną, które mu tak często były potrzebne.

## Fragment V

– Wydaje mi się, że cokolwieczek za dużo tam ma być czystości. Przydałoby się cokolwiek brudnej zakwaski. Co zaś do wyż wzmiankowanych burżujów tudzież ci-devant królów, to wołają oni, jak sądzę, mieszkać po staremu. Wołają taki, dajmy na to, apartamenty, jaki my niegdyś zajmowaliśmy w Baku – co, tatku? – jak my ongi w Baku – pięć, sześć pokojów, choćby tam już – niech będzie! – kamiennych, niż te szklanki ciągle opłukiwane w wodzie.

– Nigdy! Przenigdy! Okazuje się przecie, właśnie wskutek i wobec wynalazku naszego Baryki, że wyrazem bogactwa nie jest pieniąż ani nagromadzenie wartości realnych, drogocennych przedmiotów i rzadkich fatałachów, tylko – zdrowie. Najbogatszy bankier, jaśnie wielmożny magnat, przejadłszy apetyt, przepiwszy możność pragnienia, zrujnowawszy zdrowie nerwów nadużyciami, słyszy od lekarza radę: trzeba, żeby jaśnie wielmożny pan zamieszkał na wsi, chodził w zgrzebnej bieliźnie, bez kapelusza i butów, żeby dostojny smakosz jadł chleb razowy, kaszę, rzepę, rzodkiew, pogryzał czosnek – wystrzegał się jak ognia wina, alkoholów, kawy, herbaty, frykasów – żeby rozkazodawca robotników pracował w ogródku – na słońcu – motyką, rydłem, widłami, cepami – żeby noktambulista, z dnia czyniący noc, wstawał wraz z ptactwem i siedł spać z kurami... Cóż to oznacza? Oto zdrowie – apetyt i pragnienie, twardy sen po ciężkiej pracy fizycznej – stało się jedynym bogactwem bogacza. A zdrowie zupełne da, zabezpieczy i podtrzyma właśnie dom szklany. Higiena, wygoda, absolutna czystość. Praca, spokój, zadowolenie wewnętrzne, wesołość. Do takiego schronienia przed srogością natury i jej strasznymi jadami, dla uzyskania i zabezpieczenia zdrowia fizycznego i duchowego – będą dążyć właśnie burżuje. Boję się, że oni to rozwiną tak wielkie zapotrzebowanie szklanych domów, iż dla biedaków nie starczy. Na szczęście...

– Nie ma strachu! Zbadają oni tę rzecz dobrze, bo przecie burżuje są najsprytniejsi, pomimo iż jako klasa są już do niczego. Jeżeli tam zwąchają swój interes, zafundują sobie u naszego kuzynka Baryki wille i pałace, jakich rzeczywiście oko nie widziało.

– Na szczęście on nie chce stawiać nic innego w miastach i na wsiach, oprócz domów robotniczych, szpitali, muzeów, domów dla pracującej inteligencji, dla przeciętnych, szarych ludzi, dla zmęczonych dzisiejszą walką.

– Filantrop to jakiś. Dobrodziej. Dopóki łotrstwo kradzieży dawnych bogactw nie jest wygubione na całym świecie, zamęczy on się, biedaczysko. Łotra w ludzkości trzeba najprzód wygubić, a dopiero później budować normalne życie.

– Któż to wie, kto wśród nas jest łotr, a kto sprawiedliwy.

– To wiadomo aż nadto dobrze. Łotra w człowieku trzeba siłą wydusić, a gdy się nie poddaje – zabić!

– Nie zabijaj! Syneczku! Nie zabijaj!

– Złe na świecie trzeba zabijać. Zabijamy padalce, źmije, wilki,

– Najprzód nie bardzo dobrze wiemy, co jest złe, a co na pewno dobre. Potem – jedyne, co z zabijania wynika, to zbrodnia zabójstwa. Zabijanie jest zgoła niepotrzebne. Szkoda na to czasu i zdrowia duszy ludzkiej. Wystarczy najzupełniej budowanie życia nowego. Budować od nowa, od samego początku, od gliny ziemnej i głęboko płynącej, ziemnej, czystej wody.

– Już mi to i mama po siedlecku klarowała. Nic, starzy, nie rozumiecie.

– Rozumiemy, tylko nie ograniczamy się do tego jednego rozumienia. Oto tamten wziął garść piasku, którym wszyscy pogardzali, tchnął węń myśl swoją i na wzór Boga rzekł: "uczynię z tej garści piasku świat nowych zjawisk. Rewolucją istotną i jedyną jest wynalazek. Rewolucją fałszywą jest wydzieranie przemocą rzeczy przez innych zrobionych".

– Ależ posiadanych, nie zrobionych! Posiadanych bezprawnie.

– A czyż ci, co z pałacu wypędzają magnata i zabierają ten pałac w swoje władanie, zrobili ten pałac?

– Zabierają ten pałac we wspólne, powszechne władanie.

– "Powszechne władanie", a w zrabowanych pałacach mieszkają nowi panowie, komisarze, dyplomaci, naczelnicy i w ogóle nowi władcy, nowi uzurpatorowie. Lud po staremu mieszka w chałupach, po staremu cuchnących, w norach miejskich i jamach nędzarskich.

– Jeszcze nie jest przeprowadzona likwidacja starego łotrstwa. Jeszcze toczy się walka.

– Ta walka będzie się toczyć bardzo długo. Zbawiciel świata w kazaniu na górze nauczył świat, że nawet złemu oczywistemu nie należy przeciwieć się siłą.

– O, to – to! Stare gadaniny. Jeżeli spostrzegę, że ktoś wobec mnie dziecko sprzedaje do rozpusty albo je uczy rozpusty – jeżeli widzę, że drugi rabuje dobro przez tysiące ludzi wypracowane – to ja mam się temu nie sprzeciwić?

– Sprzeciw, zakaz, kara! Nie jest to celowe, nie jest skuteczne, a zacieśnione do jednego zjawiska. Tworzeniem nowych wartości i rozmnażaniem nowego dobra trzeba wyniszczać w ludziach samą zawiść i samą nienawiść. Można wypracować takie warunki pracy i mieszkania, iż nie będzie o co się nienawidzić i mordować. Doprawdy – śmieszny to jest przewrót, który magnatów strąca z pałaców do piwnic, a mieszkańców piwnic wprowadza do pałaców. Jest to prawdziwie robota i dom szalonych. Takie jest moje przeświadczenie.

– Moje jest inne. Zupełnie inne!

## Fragment VI

W tym czasie zbliżył się duchowo do ojca, jak swego czasu do matki. Głęboka żalność i dojmujące ssanie wewnętrzne bolesnej litości łączyło się i przeplatało z żądzą życia. Cezary patrzył teraz na rozmach rewolucji w jej pierwszym rozkwicie. Uczył się organizacji rozmaitych: *rtuczeka* i *gubczeku*, *gubispołkom*, *narobraz*, *narkompros*, *sownarkom*.

[...] Odwiedzał sale mityngów, nabite nie przez Tatarów i Ormian zjuszonych na siebie, jak to miało miejsce w Baku, lecz przez lud pracujący ruski, małopolski, rumuński, żydowski, polski, jaki kto chce, lecz jeden, niepodzielny, robotniczy. Słuchał tutaj mówców pierwszorzędnych, wszystko jedno jakiej proweniencji, lecz wysuwających i rozwijających rzecz rewolucji w sposób nieubłagany logiczny, jasny, niezwalczony. [...]

Gdy się znajdował w tłumie słuchaczy, w ciżbie robotniczej, która za każdym zbawczym sylogizmem mówcy ciężko a zarazem radośnie wzdychała, gdyż te spokojne wywody zdejmowały, zdawało się, z ramion przeogromnego pogłowia skrzywdzonych ciężar niedoli, przymus, przekleństwo i sam nieszczęsny los bytowania w jarzmie – Cezary wzdychał równie ciężko jak oni. Jakże w takich momentach pragnął rozstać się z ojcem, wyprawić go w ów świat nieznany, w krainę mitycznej Polski, a zostać tam, wśród rozumnych i silnych! Jakże pragnął dołożyć ramienia do pracy nad realizacją dzieła, nad skruszeniem aż do podwalin świata starego łotrstwa! Podziwiał i uwielbiał niezrównane zjawisko przewrotu, ukazujące się oczom ludzkim w czynie najpotężniejszym od zarania świata a wysnutym z logicznych przesłanek genialnego geometry, który inaczej niż wszyscy dotychczas, niż najpotężniejsi z tyranów, podzielił i pomierzył okrąg ziemski swym systemem triangulacji na niewidziane.

[...] Ale gdy młody entuzjasta wracał do dziury pod schodami, czuł, że nie da rady. Ten ojciec, przychodzić mało znany, to nie było jestestwo bierne i czujące jedynie, jak matka. To był przeciwnik czynny. To był rycerz. Z jego ran, których na ciele miał pełno, sączyła się nie tylko krew, lecz jakoweś światło uderzające w oczy. On nie tylko wierzył w coś innego, lecz śmiał inaczej świat kształtować. To, co mówił, było mgliste, wymyślone z rozbitej głowy, nawet śmieszne, ale z tym trzeba było potykać się, Zaiste, na szpady. Czyż ten ojciec był burżujem, stronnikiem bogaczy i pochlebców bogaczy? – Nie. Czy był stronnikiem starego porządku rzeczy? – Nie. Jakże tedy – dlaczego nie chciał współpracować w

sprawie przewrotu? Znał przecie tę potęgę, która wyzwalała robotników świat z pęt ucisku przemysłowców i zdzierców. Bywał na wszelakich wiecach w Moskwie i słuchał najciekawszych referentów. Nie tylko tyle; w drodze swej do Baku przewędrował całą Rosję, przewiercił ją jak ów mały niepozorny, skałotocz-palczak, który w ciemności swej przesywa potężne skały. Znał nie tylko zewnętrzne agitacyjne mityngi i półzewewnętrzne urzędy, na starych oparte śmieciach, lecz i tajne kancelarie nowych despotów, szpiegowskie Zakamarki i obmierzone więzienia, gdzie wskutek podejrzeń i na zasadzie szpiegowskich doniesień siadywał ramię w ramię z tymi, których po to wyprowadzano na światło, ażeby ich zgładzić. Znał piwnice zalane i zachlastane krwią i cuchnące od trupów. Powiadał, iż ten to trupi Zaduch przeszkadza, żeby moskiewskie powietrze można było wciągnąć wolnymi i szczęśliwymi płucami. W tym zaduchu po masowych i sekretnych morderstwach, pośród krwawych orgii nie można się modlić wielkim tłumem: "Ojczy nasz, któryś jest w niebie..." . "W Moskwie – mówił – cuchnie zbrodnią. Tam wszystko poczęte jest ze zbrodni, a skończy się na wielkich i świetnych karierach nowych panów Rosji, którzy Zamieszkażą w pałacach carskich i jusupowskich, odzieżą się w miękkie szaty i stworzą nową, czynowniczą i komisarską arystokrację, nową nawet plutokrację, lubującą się w Zbytku i zepsuciu starej. Plebs będzie mieszkał po norach i smrodliwych izbach. Tam nie zaczęło się od budowania, od przetwarzania rzeczy lichych na lepsze, lecz od niszczenia, nie z miłości, lecz z pychy i zemsty. Nadaremnie Znakomici komisarze będą odwaniać zapach morderstwa perfumami postępu".

## Fragment VII (Nawłość)

Drzwi się otwarły i weszła do sali jadalnej panna Karusia we własnej osobie – ale w jakimże dezabilu! Oto – po prostu w koszuli. Gdzieś tu, widać, w sąsiedztwie jadalni sypiała, toteż wprost z łóżka przyszła do ognia ogrzać się troszeczkę. Miała na nogach bez pończoch wsunięte miękkie i mocno przydeptane pantofle, włosy rozpuszczone i – powiedzmy całą prawdę! – rozkudłane, które właśnie rozczesywała, a na sobie jedynie krótką koszulę, mocno powystrzyganą i koronkowo-przejrzystą u góry. Stanąwszy przed wielkim ogniem kominka, panna Karusia poczęła wyczyniać rozmaite piruety i krygi – przechylać się i wyginać. Zapewne w celu zagrzania tu i tam podczas tak chłodnego poranka, zadzierała i tak już krótką koszulinę – albo znowu zasłaniała się nią bezskutecznie, gdy zanadto w jakim miejscu parzyło. Podśpiewując i balansując czesała swe długie, pozłociste włosy. Wykonywała już to prawą, już lewą nogą lekkie pas w stronę ognia, jakby sama była na scenie, a tańczyła bachiczny tan ku ucieście widzów siedzących nisko na parterze, w głębi gorejącego pieca. Cezary był zachwycony tym widokiem, choć nie siedział w parterze, lecz w dalekiej łoży. Nigdy nie miał przed oczyma kształtów kobiecych tak harmonijnie pięknych i młodzieńczo jedmych. Każdy ruch i przegub ciała panny Karusi był pełen niezwalzonego powabu. Lecz przecie brutalstwem było zbyt długie napawanie się widokiem rozmamłania młodej piękności. Toteż Baryka, po dość długim zresztą namyśle, chrząknął i rzekł wesoło:

– Obawiam się, że włosy pani mogą się zapalić od ognia i wtedy...

Nie miał czasu na dokończenie zdania zawierającego obawy tak słuszne, przewidujące, niemal ojcowskie – gdyż panna Szarłatowiczówna wydała nagły okrzyk – niczym tamta dziewoja uciekająca przed perliczką – i runęła we drzwi z takim impetem, że o mały włos nie wyrwała ich z zawias. Odkąd te drzwi były drzwiami, klamka klamką, a zawiasy zawiasami, nigdy jeszcze nikt nie potraktował ich w sposób tak wybuchowy. Stare, spaczone drzwi długo jeszcze chwiały się na przerażonych hakach i szczękały wystraszoną klamką. Ogień na kominie zdawał się strzelać i trzaskać, buzować i huczeć ze śmiechu z podwójną i potrójną swą mocą, jakby tam w głębi rzeczywiście tłum rozbawiony oklaskiwał przygodę panny Karusi.

Cezary nie wiedział, czy ma siedzieć na swym miejscu, czy głęboko zawstydzony się, wstać i wyjść. Został. Po pewnym czasie nadciągnął Maciejunio w rannej kurtce, a nawet w małej czapeczce, którą musiał widywać na łysinach maître d'hôtel'ów w czasie podróży po Europie z nieboszczykiem jaśnie panem – "Panie, świec nad jego duszą"...

Maciejunio, dostrzegłszy rannego gościa na sofie, zafrasował się, zmartwił, o mało nie płakał. Jakże to! Jeszcze śniadania nie ma na stole, a gość, taki gość, paniczów4 największy przyjaciel, czeka! Zakrzętnął się, zabiegał jak fryga, aż podskakiwał w pośpiechu. Wnet napędził do tej sali bosych pokojówek, jakichś małych "podręcznych" Piotrków i Florków. Nakryto stół i piorunem wniesiono koszyki z chlebem żytnim, z bułkami własnego wypieku, z suchymi ciasteczkami i rogalikami. Maciejunio własnoręcznie naznosił słoików z miodem, konfiturami, konserwami, sokami. Tu podstawił "maselko", tam rogaliki. Pod siwym przystrzyżonym wąsem uśmiechał się spoglądając na pewien słoik, który nieznacznie wskazywał, i coś "ośmielał się" szeptać z cicha na jego wielką, bardzo wielką pochwałę. Cezary przysiągł mu oczyma, iż odwiąże opakowanie słoika i skosztuje, a nawet sięgnie dokumentnie do wnętrza. Od wczorajszych doświadczeń polegał na zdaniu Maciejunia. Wniesiono uroczyście tacę z kamiennymi imbrykami. W jednym była kawa, kawa jednym słowem – nie jakiś sobaczy ersatz niemiecki – "kawusia", rozlewająca aromat swój na dom cały. W kamiennych także gamuszkach podsuwano porcję śmietanki. Z kozuszkami zagorzałymi od ognia uśmiechały się do gościa te kamienne gamuszki, przypiekane przez ogień zewnętrzny.

Cezary, nie czekając na domowników, zabrał się do "kawusi", kozuszków, "śmietaneczki", chleba, który płatał po żołniersku, do rogalików, które chrustał od jednego zamachu – do ciastek, miodu, konfitur. Maciejunio przewijał się kiedy niekiedy obok stołu i pochwalał oczyma, uśmiechem albo ruchem niepostrzeżonym zabiegi i czynności gościa. Na pytanie, czy nikt z domowników jeszcze nie wstał, stary sługa dał odpowiedź, iż śpią jeszcze wszyscy. Panna Szarłatowiczówna wstała już wprawdzie, ale teraz powróciła znowu do łóżka, a do stołu dziś w ogóle nie zasiądzie, gdyż jest niezdrowa.

– Doprawdy? Zasłabła? – troskał się młody Baryka.

– Jakoś... Ból głowy. Febra. Bo to teraz te ciągle zmiany pogody. To pogoda, to masz! znowu niepogoda. Nigdy tego dawniej nie mieliśmy w naszych tutaj stronach. Była pogoda, no to pogoda. A teraz... Widać panienka z tej ciągłej niepogody wpadła w zapalączkę. Niektórzy mówią, że to wojna wpływa tak na tę niepogodę. Ciągłe strzały z armat.. Ale my tutejsi nie możemy tego wiedzieć.

– Może być, że to i wojna... – westchnął Cezary zmiatając najprzedniejszą marmoladę z brzoskwini.

## Fragment VIII

Tego dnia właśnie od Nowego Świata, przez plac Trzech Krzyżów ciągnęła wielka manifestacja robotnicza w stronę Belwederu. Bezrobotni wskutek fabrykanckiego lokautu', strajkujący wskutek drożyzny i niemożności wyżycia z płacy zarobkowej tak nędznej, jaka była ich udziałem – i uświadomieni komuniści. Ci trzymali prym, młoda gwardia, a raczej awangarda Sowieców.

Ludzie ci ściągnęli z niskiego Powiśla i z dalekiej Woli. Przemknęli się pojedynczo wszystkimi ulicami, a tutaj dopiero, u wylotu Alei Ujazdowskich, spiknęli się i z radością natrafili na swoich. Właściwy powód tego pochodu był następujący. W jednej z fabryk robotnicy zażądali podwyżki zarobku o 50 procent. Skoro dyrekcja kategorycznie odmówiła, grzecznie ujęli dyrektora pod paszki i wyprowadzili na podwórze, a z podwórza za bramę. Tam zaś poprosili go kolanem, żeby poszedł do swego mieszkania, a tutaj się nie plątał, gdzie go nie potrza. Sami zaś zajęli pozycje przy maszynach, każdy specjalista przy swojej specjalności. Fabrykę ogłosili jako zajęta w posiadanie rady robotniczej. Właściciel fabryki ze swej strony ogłosił, że fabrykę zamyka na czas nieograniczony, a wszystkich robotników wydała. Wtedy robotnicy oświadczyli, że nie pozwolą zamknąć tej fabryki, sami będą pracować i nikomu jej nie dadzą. Wtedy policja otoczyła fabrykę i zażądała od zespołu robotników, żeby wyszedł dobrowolnie, jeśli nie chce narazić się na przymusowe wydalenie.

Właśnie wtedy kierownictwo partii zażądało od ogółu robotników poparcia. Manifestacja wyszła nagle z placu i ruszyła pod Belweder. W pierwszym szeregu znacznego tłumu szli ujawszy się pod rękę ideowi przedstawiciele, między innymi Lulek i Baryka. Baryka w samym środku, ubrany w lejbik żołnierski i czapkę żołnierską. Śpiewali.

Właśnie konna policja pokazała się w jednej z ulic poprzecznych. Oficer na pięknym koniu, w płaszczu gumowym spiętym na piersiach, w skokach konia i lansadach przejeżdżał obok tłumu szarego i rudego, który się ścisnął i zbijał w jedno ciało. Oficer przypatrywał się pilnie ideowcom. Specjalnie pilnie temu w czapce żołnierskiej. Gdy tłum zbliżył się pod sam już pałacyk belwederski, z wartowni żołnierskiej wysunął się oddział piechoty i stanął w poprzek ulicy, jakby tam nagle ściana szara, parkan niezłomny, mur niezdobyty wyrósł.

Baryka wyszedł z szeregów robotników i parł oddzielnie, wprost na ten szary mur żołnierzy – na czele zbiedzonego tłumu.